Ner 20. **Kraków 15 października 1868.** **Rok III.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Jagiellońskiéj Nr 204 na dole otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

☞ Przy dzisiejszym Nrze dołącza się dla Pren. **nuty** — p. t.: „**Zrozpaczona**“, słowa Teofila Lenartowicza, muzyka Bohdana Borkowsiego.

O powieści i powieściopisarzach *)

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

Każdy wiek w życiu ludzkości obiera sobie myśl szczególną, kochankę, któréj poświęca całą miłość swoją i wszystkie wysilenia. Te kochanki odmienia często, lubo dla każdéj goreje namiętnością zapalonego młodzieńca, bo zwierzchnia szata życia ludzkości jest niestałą i przemienną, jak tło różnolicowe, w którém się mienią, krzyżują, przeglądają wszystkie momenta tego, co jest wiecznem.

Ta zmienność zewnętrznego stroju myśli jest nieodzowną, i nie dowodzi bynajmniéj jéj sprzeczności (saméj z sobą), ale owszem przedstawia jéj skarby nieprzebrane i głębię dotąd najbystrzejszém okiem nieprzejrzaną. Myśl ludzka jeszcze jest młodą, ma dłuższą drogę przed sobą od téj, którą przebiegła; napróżno krótkowidze i ludzie trwożyć lubiący grożą jéj zgrzybiałością. Każdy wiek świadczy o jéj sile czerstwéj i jędrnéj, a stanowisko najwznioślejsze, jakie zajmuje w oznaczonym czasie, jest dla wieku owym świetnym obłokiem Izraela, za którym idzie ludzkość, zatrzymując się na wydatniejszych punktach, oglądając się i reflektując. To spojrzenie w przeszłość i obecność zrodziło umiejętność, która jest skutkiem życia, a to jéj warunkiem. Życie i umiejętność, praktyka i teoryja, w ścisłém znaczeniu są jedno i to samo, a przynajmniéj być powinny; skrzywienie tego pojęcia psuje harmonję w człowieku, prowadzi go do anarchii w myślach i życiu. Całém zadaniem umiejętności nie jest tworzenie dowolne, ale odgadywanie tego, co było i co jest, jak było i jak jest, a wtedy umiejętność nie będzie cackiem do zabawki skrzepłych robotników, śmiercią dla serca i myśli, ale zdrojem wody żywéj, gdyż będzie zwierciadłem życia, samém życiem. Z takiego stanowiska będę się starał odgadnąć charakter naszego wieku i charakter romansu: czy jest prawym synem swojego czasu i czy wzajemnie ten czas musiał wycisnąć na nim inne znamię od tego, jakie miał w poprzednich wiekach.

*) Przewodnikiem w niniejszéj rozprawie były mi estetyczne i krytyczne uwagi Grabowskiego, Kraszewskiego, Cieszkowskiego, Ziemięckiéj i innych. Ich piękne myśli starałem się streścić lub udowodnić.

I.

Poezyja była od wieków i na wieki będzie mistrzynią ludów. W miarę odmian czasu, odmieniły się też postacie poezyi, właściwe organa, któremi przemawiała. W obecnéj chwili ani liryczna, ani epiczna, ani dramatyczna poezyja nie panują w świecie. Owe formy już zaszły, inne jeszcze nie weszły. Byłżeby wiek nasz z poezyi obrany? — Trudnoby przypuścić, trudniejby jeszcze wytłómaczyć. — W epokach stanowczych duch zwykł się odzywać w formach czystych i równie stanowczych. W epokach zaś przechodnich, kiedy mieszają się wyobrażenia i krzyżują z sobą żywioły społeczne, duch ulega także różnorodnym wpływom czasu i wyradza mieszańce. Chociażbyśmy żadnych innych znamion do ocenienia naszego wieku nie posiadali, to już sam brak stanowczéj formy poetycznych tworów posłużyłby nam za dostateczne znamię. — Jest przecież pewien rodzaj owych tworów, który w obecnéj chwili wzbił się nad wszelkie inne, rodzaj z natury mieszany, a więc dziwnie odpowiedni charakterowi czasu. Rodzaj ten stał się dzisiaj właściwym organem poezyi niemal wszystkich ludów, on dziś rej wodzi w literaturze. Jestto powieść.

W liczbie książek, które w ostatnich wiekach pracowity i niespokojny umysł ludzki rozsypał z takim zbytkiem po świecie, najpłodniéj się rozrodziła powieść. Gdziekolwiek rzucimy okiem, do uczonych zbiorów, w szufladkę uczącego się młodzieńca, na gotowalnią młodéj kobiety, pod okulary staréj matrony, wszędzie napotkasz ramię tego polipa. Jak na bujnéj niwie, usposobionéj do silnéj roślinności, pod drzewami i krzewami nieskończenie się rozradza gromada traw i mchów, które gęstym kobiercem pokrywają ziemię, czerpiąc życie z jéj tylko powierzchni — tak równie na świecie lite-

ratury toż samo powtarza się zjawisko. *Menzel* trafnie porównywa powieść z ziemniakiem, dla ich jednakiéj płodności, łatwości rozłożenia się w każdym gruncie, i téj wspólnéj im własności, że raz zakosztowane zamieniają się w potrzebę. — Już tedy dzisiaj nie rodzą się ani pieśni gminne, ani żadne myty, podania, legendy, ale za to rodzą się powieści. Inny czas, inny jego poetyczny objaw. I to minie, jak wiele minęło, a inna forma sztuki zajmie opuszczoną dziedzinę; ale dziś po wielu kolejach przyszła kolej na powieść — i powieść stała się chlebem powszednim naszego społeczeństwa.

Któż dziś nie czyta powieści? Chyba tylko wyrobnik, który czytać nie umie, albo też minister, który czasu na to nie ma. We Francyi większa część powieściopisarzy pisze na wyścigi a nawet na zabój, a to bynajmniéj nie dla tego, że pierś ich miotana jest natchnieniem wyrywającém się na zewnątrz i łaknącém udziału, ale dla tego tylko, że zobowiązali się za dobrą zapłatę dostawiać do owych rękodzielni zwanych dziennikami, po jednym feljetonie na dzień, przeznaczonym na codzienne śniadanie kilkukroć stu tysięcy prenumeratorów. I czémże ich częstują? Oto podają im dużo wody, dużo pieprzu, zwykle mało soli, zwłaszcza attyckiéj — a zawsze trochę spirytusu zaprawionego jakimbądź narkotykiem. Wszakże smaczne? A jednak taka jest potrzeba spożywania, taka sztuka przyprawiaczy, że nawet podobne płody ogromny odbyt znajdują. Czegóż to dowodzi? Oto potęgi powieści i jéj potrzeby.

Wbrew tym, którzy widząc oraz wysychające źródło poezyi, a w przyszłości, w epokach ostatecznego udoskonalenia ludzkości, zupełnie odmawiają jéj miejsca, uważam przeciwnie, że my i ci, co po nas nastąpią, mamy i możemy mieć odkryty świat poetycznych utworów w przestronniejszych granicach, z wyższą ułudą, z trudniejszemi tajemnicami sztuki. Tym światem jest powieść do artystycznego podniesiona znaczenia. W każdéj literaturze jest ona dziś gatunkiem głównym, odświetlającym najwyraźniéj ducha swego narodu, świat uczuciowy, w którym ten naród żyje, wspomnienia, które dochowuje, pojęcie poetyczne wszech rzeczy, do którego dochodzi. Jak niegdyś wyjaśniało się to przez lirykę i drobne gatunki poezyi, tak teraz wyobraża to nierównie doskonaléj świat akcyi, życia i interesu, który pisarze budują narodowi z historyi krajowéj i obyczajów swego towarzystwa. Jako sztukę takiéj natury i takiego przeznaczenia uważam prawdziwą powieść. Powieść tego rodzaju nie jest bynajmniéj (jak niektórzy utrzymują) chorobliwym płodem literatury, ani potworną formą poezyi. Jest ona wprawdzie rodzajem przechodnim i mieszanym, ale normalnym i samożywotnym. — Pochodząc z rodu epopei powieść jest rozplemienioném jéj potomstwem; co więcéj, ona jest nią samą, ale z a m i e n i o n ą n a d r o b n e. Owe *disjecta membra poetae* stanowią powszednią i jedynie możną dziś epopeję społecznego życia. Tym sposobem powieść nowoczesna jest prawym następcą właściwéj epopei, która już umarła. Umarła i wątpię, aby rychło zmartwychwstać mogła. Ani wiek nasz potemu, ani my do tego. Wiek nasz nie z powodu, aby miał być zanadto prozaiczny, ale że jest zanadto analityczny. My zaś nie z powodu, abyśmy niezdolni byli pokusić się o wielką syntezę epiczną, ale żeśmy zanadto praktyczni, a tém samém, że więcéj w przyszłość, niż w przeszłość spoglądamy. Właściwéj epopei dziś nie ma i być nie może. Wszelako nic na tém nie traci poezyja, epopeję zastępuje zdawkowa moneta téjże: p o w i e ś ć. Czego dziś epopeja zbiorowo dokonać nie zdoła, tego rozbiorowo dokonywa powieść. Równie jak tamta niegdyś, jest ta dzisiaj zwierciadłem wszystkich żywiołów swojego czasu; równie jak tamta niegdyś, jest ona dzisiaj encyklopedyją poetyczną wszystkich uczuć i skłonności, wszystkich wyobrażeń i zdań, wszystkich doświadczeń i domysłów, wszystkich namiętności i cnót, wszystkich postępków i występków społeczności. Jest ona powiernikiem biernym i czynnym wszelkich tajemnic wieku. Biegłe oko i ucho jéj ku przyjmowaniu wrażeń, biegłe usta jéj ku udzielaniu takowych. Powieść zstępuje i wstępuje na wszystkie szczeble życia społecznego, wytrapia wszelkie manowce towarzyskiego błędnika. Do wszystkich okien zagląda dla zebrania owych plonów; do wszystkich drzwi puka dla złożenia zebranych.

Powiernik ten zaiste nie zawsze jest wiernikiem; ale przez to samo tém bardziéj przypada do swojego wieku. Wszakże i temu wiekowi nie obcą jest ułuda — a czasem i obłuda. Skoro świat czarami majaczy, jakżeby powieść nie miała iść za jego przykładem? — I w saméj rzeczy, gdy na świat patrzy, nieraz jéj się dwoi; — gdy podsłuchuje, nieraz jéj w uszach dzwoni; — kiedy zaś z fałszywém odezwie się świadectwem, gdyby jéj przyszło za każdą razą oczyszczać usta rozżarzonym węglem, zaiste już dawno byłaby je sobie do szczętu wypaliła. A jednak szkodaby owych ust wymownych! Obok kłamstw, ileż one już prawd po świecie rozsiały, ileż wyobrażeń za ich pośrednictwem przedarło się do zakątków społeczeństwa, kędyby nigdy inaczéj nie doszły! Ileż strun serca ludzkiego nastroiły! A mianowicie jakże one są dzielne i biegłe w przemawianiu do téj połowy rodu ludzkiego, która wedle świadectwa Naruszewicza, nie rządzi wprawdzie światem, ale tylko n a m i. — Gdyby dziś żył Szyller i ujrzał wzrost romansu, jakżeby go wysoko postawił pomiędzy środkami estetycznego wychowania ludzkości!

Kto dzisiaj potępia powieść, kto ją za chorobę czasu poczytuje, kto nad szerzącą się jéj „manija“ utyskuje, ten nie pojmuje potrzeb, ani czasu, ani ludzkiéj natury, ten zapomina, że poezyja czy pod tą czy pod ową postacią działać musi na ludy, inaczéjby uschły lub

skrzepły. Duch ludzki ani samemi naukowemi badaniami, ani samą praktyczną działalnością żyć i wzrastać nie zdoła, równie jak roślina przy najlepszéj ziemi i najprzyjaźniejszém słońcu, bez deszczu lub rosy się nie obejdzie. Praktyczna działalność każdego członka spółeczności zwykle jest ograniczoną, badania ściśle naukowe nader małéj liczbie są przystępne; równie małéj liczbie dano jest spozierać poza krańce właściwego w spółeczeństwie zakresu i dowiadywać się, co tam po innych warstwach towarzystwa się dzieje; ale powieść przeczytać a z nią mnóstwo różnorodnych wyobrażeń przejąć, niemal każdy jest w stanie. Powieść przez swoją formę łatwą i ponętną dążąc do wniknienia w masy, może tam stać się ziarnem dobroczynném lub zgubną trucizną — i z tém też przekonaniem działania na ogół pracują najpierwsi powieściopisarze; widzą oni w romansie potężne narzędzie do rozpowszechnienia swoich zasad, widoków i dążeń. — Od talentu więc, i nie wacham się dodać, od poczciwości powieściopisarza zależy ogromny wpływ na współczesnych....

Przez jaką zaś tajemnicę to najmłodsze dzieło sztuki stało się ulubieńcem wieku? Czy przez rzeczywistą wyższość nad starszymi braćmi? Czy przez zwyczajną słabość do dzieci młodszych? Przejrzyjmy pokrótce wpływ powieści na spółeczeństwo, fizyonomije, jakie przybierała w historyi z koleją czasu, stopień, jaki zajmuje w ogóle a w szczególności w naszym wieku w hierarchii literackiéj, a suma tych uwag da może niejakie objaśnienie powyższym pytaniom.

Elementarne pojęcia o powieści, jéj definicyją, podział na romans historyczny i powieść obyczajową, humorystyczną i t. d. przypuszczamy, że są powszechnie wiadome i dlatego tutaj je pomijamy a przechodzimy wprost do historyi romansu i powieści.

II.

Jakkolwiek do XIX. wieku, do naszych niemal czasów, romans w ogólności grał w literaturze jedną z najmizerniejszych ról, i pod względem sztuki i pod względem prawdy pogardzany, uważany tylko jako igraszka przez autorów, jeko zabawka przez czytających — wszelako rzecz ściśle biorąc, romans wiekiem swoim już klasycznéj starożytności sięga. Starego *Herodota* możnaby prawie uważać za ojca romansu historycznego; bo czyliżby on był nadał imiona „Dziewięciu Muz“ częściom swojego dzieła, gdyby był zamierzył historyję poważną, historyję w całém znaczeniu tego wyrazu. Dla niego, jak dla Walter-Skota, historyja była opowiadaniem zwyczajów, podań, zabobonów, była niby świetną panoramą obyczajów ludzkich. A „Cyropedyja“ *Xenofonta* nie jestże pierwowzorem „Telemaka“, tak wybornego romansu historycznego i filozoficznego? Mamyż np. zapomnieć o wszystkich zabawnych powieściach, upowszechnionych w starożytności, które brały swe nazwy od różnych miast i okolic? możemyż zapomnieć o „Ośle złotym“ *Apuleusza*, ułożonym ze starodawnych powieści greckich lub syryjskich, i o tylu bajkach prozą pisanych, któremi rozkoszni mieszkańcy Azyi mniejszéj uprzyjemniali swobodne swe chwile? Ozdoby powierzchowne i ubiory są odmienne, ale tło malowidła jednakie. — Romans historyczny, ten utwór mniemany Walter-Skota, krążył z wieku do wieku, od *Xenofonta* do *Kwinta Kurcyusza*, którego „Historyja Alexandra W.“ jest tylko zmyśleniem ugruntowaném na podaniach i wiadomościach prawdziwych. Większa część właściwych nawet romansów, które będąc monografią jednego uczucia miłości i wszystkich wypadków, jakich być może przyczyną, mają jednak niekiedy charakter historyczny. Najdawniejszém dziełem tego rodzaju są podobno *Antoniego Diogenesa* miłostki „Rhodanisy i Simonidesa“, *Taciusa* „Leucippe i Klitophon“, wreszcie sławna „Historyja Etiopska“ (Αἰθιοπικά) *Helliodora*, biskupa żyjącego w IV. wieku za Teodozyusza. Romans ten, na który się tak ówcześni towarzysze biskupa obruszyli, jest skromnym i moralnym przy najpilniejszém czytaniu; trudno nawet odkryć w nim te naiwności w szczegółach, które były owemu wiekowi właściwe. Wiele miejsc tego dzieła zastanawia poezyją lub charakterem historycznym *). Po Helliodorze następują: „Daphnis i Chloe“ *Longusa* i „Abrokon i Anthia“ *Xenofonta z Efezu*; nareszcie ostatni, o ile mi wiadomo romans nieznajomego autora przezywającego się symbolicznie *Charitonem z Aphrodyzyi* (Karyjczykiem, sekretarzem rektora Athanagorasa), późniejszy od poprzedzających. Jest on prawie historyczny, a w wielu bardzo miejscach naiwnie maluje obyczaje swego czasu. Nie można mu wielu zalet odmówić: opisy miejsc, rysy obyczajów i życia odbijają tu wśród patetycznych i poetycznych deklamacyj, nie bez wdzięku. Intryga dziwna wprawdzie, lecz ściśle biorąc, prawdopodobna. Nie brak tu nawet prostych scen pospolitego życia, drobnych i trywialnych szczegółów, silnie wpływających czasem na czynność, a odmalowanych szczegółowo i naiwnie. Słowem jestto dzieło, które dziś jeszcze z przyjemnością czytać można. — Romanse starożytne formą tylko materyjalną różne od poematów, w rzeczy są niemi zupełnie; styl ich nawet świeżą jeszcze emancypacyję z pod władzy wiersza miarowego pokazuje.

Rodzaj ten pisania zjawił się znowu w tym samym kroju i kształcie, w innéj tylko barwie, na łonie feodalności. W wiekach średnich romans zmienił się o tyle, o ile zmieniły się obyczaje, które musiał malować. Rzadsze tylko było użycie *deus ex machina*. Pochodziło

*) Tłumaczył z greckiego ten romans Stanisław Warszewicki, Jezuita i rektor Coll. Wil., i przypisał go Zygmuntowi Augustowi. Wydany z tekstem greckim w Bazylei r. 1551.

to z pobudek religijnych, które nie dozwalały wprowadzać na scenę zdetronizowanych bóstw Olimpu, a zarazem poniewierać nowéj religii, na ozdobę pięknych kłamstw poetycznych. Romans wskrzeszony w czasach rycerskich inaczéj już kobietę i miłość wystawił, biją się o nią, z niewolnicy stała się już bóstwem prawie, z podległéj królową. Potrzebując koniecznie cudów, a nie mając łatwéj mytologii, przesadzano już potém siłę i możność ludzką stworzono a raczéj odnowiono na użytek piszących czary, czarnoksięstwo, wróżki i djabłów nawet. Ubliżanoby świętym, wzywając ich pomocy, ale złe duchy mogły przeszkadzać; to zastąpiło bogów. — Gdy biedny pustelnik, chcąc ubawić damy i rycerzów, powziął myśl szczęśliwą, aby zebrać jakkolwiek i upięknić swoim sposobem pedania krążące pomiędzy ludem, powieści mamek i piastunek, pieśni gminne i wszelkie, jakie tylko gdzie mógł znaleść szczątki prawdy i fałszu o męztwie i o dzielności dwunastu waleczników i przywodzącego im Karola W. — cóż zrobił innego, jeżeli nie romans historyczny? Tak zwana „Kronika Turpina“ sprawiła równie wielkie wrażenie w swoim czasie, jak romanse Walter-Skota w niedawnym. Do téj kroniki niepewnego autora, jak do wspólnego źródła odnoszą się wszystkie późniejsze romanse z wieków średnich. W chatce ubogiego wieśniaka, równie jak w domach miejskich znano dobrze stare legendy, rozpowiadające o wielkich czynach Karola W. i jego przybocznych lenników; czytano je i powtarzano z chciwém upodobaniem. Mieszając tedy bez ładu rozmaite podania krążące pomiędzy gminem, ze szczątkami niektórych pamiątek na pół zatartych, z imionami sławnemi, z powieściami o czarodziejstwie i z wielu tym podobnemi fałszami. *Turpin*, czy inny kronikarz bezimienny, który wydał na świat tę zbieraninę bezkształtną i nieporządną, był prawdziwym twórcą romansu historycznego w średnich wiekach. On pierwszy dał popęd całéj Europie i znalazł wszędzie licznych naśladowców. Turpin jakkolwiek nieokrzesany, dziwnie przypadł wszystkim do smaku i dla tego wszędzie go przepisywano, a późniéj wychodziły opisy historyczne wszystkich kolejno narodów europejskich, ich początków i zmian gwałtownych, przez jakie przeszły, a to w stylu i barwie romansowéj, wiernie naśladowanéj z Turpina. Na podstawie romansu historycznego, na tle zdarzeń znanych lecz cokolwiek przeistoczonych, tudzież imion sławnych często niepodobnych do rozpoznania, osnowano tysiące dziwacznych zmyśleń. Z postępem cywilizacyi dzieła tego rodzaju nabierały coraz więcéj powabu i zalotnéj mistyczności. Ztąd powstały tak liczne romanse rycerskie, które zarazem cechowała zalotność, uniesienie, dziwność i mystycyzm. W początkach były one historyczne, potem wyrodziły się powoli, a zalotność posunięta aż do zaślepienia i niesłychane przygody zajęły z czasem miejsce opowiadań zdarzeń prawdziwych. Nie śmiejmy się z tych dzieł niegdyś sławnych, a dziś zagrzebanych w pyle bibliotek, i one panowały w świecie chrześcijańskim przez wiele wieków.

Ale gdy stan rycerski musiał z czasem abdykować ze stanowiska jakie zajmował w świecie, owe zmyślenia romansu historycznego zaczęto wyśmiewać. Naród handlowy, zamożny, skłonny do szyderstwa i uciech zmysłowych, naród w owych czasach najoświeceńszy w Europie dał hasło. We Włoszech tedy zaczęło się szyderstwo, a odtąd długi i głośny śmiech prześladował dawnych rycerzy i rycerskość w ludziach i pismach, począwszy od *Pulviego* aż do „Donkiszota“, u stołu bogatych kupców i książąt Medyolanu, Florencyi, Neapolu i Madrytu. — Duch ten naiwnie sarkastyczny znajdujemy jeszcze wprzód w autorze wielce znajomego romansu „Guzmana Alfarasz“ *Mateusza Alemanni.* To dzieło malujące łotrowskie życie i najzepsutszą klasę, ukazało się w Hiszpanii, za rządów Filipa II. po całéj Europie roztłumaczone i czytane. Kto wie, czy *Cerwantes* nie znalazł w niém ducha satyry, z którym rzucił się na dogorywające już szczątki rycerstwa; a *Le Sage* i cała jego szkoła, bez żadnéj wątpliwości ma ojca w Alemannim. Już *Aryost* zaczyna wyśmiewać te wielkie cięcia pałaszowe, które podziwiano przed nim, a zachowując całą zmienność i ruch przygód nadzwyczajnych, dodający tyle wdzięku jego poematom, przyłączył do nich osnowę lekkiéj i błyszczącéj ironii, oraz uszczypliwości prawie niedojrzanéj. Tak się rozwinęły wszystkie jego wdzięczne i czarujące powieści o cudach męztwa rycerskiego, o przedsiewzięciach olbrzymich i niepodobnych do wykonania. Ironija u niego jest panującą. Przeciwnie w wyborném opowiadaniu przygód Donkiszota, zajmuje ona tylko połowę myśli autora. Uczynię tu jeszcze tę uwagę, że Aryost w swojéj satyrze jest łagodniejszy od swych poprzedników. Nie maluje on karykatur jak *Aerni*, ani jest cynicznym i grubijańskim jak *Pulvi*; był to człowiek uczciwy i dobrego tonu, żartuje sobie łagodnie i dowcipnie z rycerskich i romansowych zapędów. Głębszym jest od niego *Cerwantes;* w jego ironii przebija uczucie przesadzone wprawdzie, ale uczucie heroizmu, a obok tego heroizmu rozsądek pospolity i uszczypliwy w osobie Sancho-Pancha.

(Ciąg d. nast.)

Bez echa.

O tak smutno — smutno mi . .
Tak samotnie pędzę dni;
Chociaż tyle ludzi w koło;
Wszędzie tłumno — wszędzie gwarno,
Ale u mnie pusto — czarno . . .
Ale u mnie nie wesoło.

„Ptaszku mój! co lecisz w dal —
„Znasz ty serca mego żal?
„Ja ci powiem co mnie boli,
„Lecz posłuchaj mojéj skargi —
„Zaśpiewają'ć drzące wargi:
„Znasz ty piosnkę o niedoli?...

„Ale ty nie słuchasz mnie,
„Gdzież tak spieszysz ptaszku, gdzie?
„Pożycz i mnie twego lotu
„Co nim wzbijasz się na chmurę,
„I ja lecieć chcę tam w górę —
„Ale lecieć bez powrotu.

Pójdę jeszcze skarżyć się —
Może prędzéj pojmie mnie
Ten motylek w pięknym stroju,
Co tam usiadł na badylku;
„Słuchaj piosnki méj motylku!
„O méj duszy niepokoju!...

Lecz daremna prożba ta,
Ciebie nudzi piosnka ma —
Bo dziś piękny dzień pogody,
Toś ty wesół i szczęśliwy...
„Leć motylku więc na niwy
„Lec mi pożycz twéj swobody!

Jeszcze ja dolinę znam,
A strumyczek płynie tam;
Może on się choć zatrzyma,
I wysłucha skargi mojéj —
Powiem — co mnie niepokoi...
Czyż pociechy dla mnie nie ma?

Lecz i tu zawiodłam się —
Bo i on nie słucha mnie;
Ale sobie daléj płynie
Wolny — pośród zieloności —
„Pożycz i mnie téj wolności
„Mój stromyczku na dolinie!...

Ach — więc smutno... smutno mi —
Ze snów złotych gorzkie łzy?...
Cały świat zajęty sobą —
Za swém tylko szczęściem goni —
Łzy współczucia nie uroni...
Nad sierotą, nad żałobą.

Ż..........wa.

KARYKATURY.

(Wyjątek z teki podróżnéj.)

(Ciąg dalszy.)

Spytacie się zapewne: zkąd Pipidówka miała tak osobliwe nabożeństwo do ś. Cecylii? Odpowiedź na to dadzą wszystkie gitary, klawikordy, basetle, wzdęte gardziołki panien i inne instrumenta muzyczne. Miasto całe chorowało na muzykę; kto chciał mieć jaką taką opinią dobrze wychowanego człowieka, musiał się starać być muzykalnym, to téż wszystko co żyło w Pipidówce, rozgrało się, rozśpiewało w okropny sposób: tu słyszałeś *do, re, mi* i t. d. wydzierające się w ostrych tonach z szeroko otwartych ust, tam aplikant biurowy gwizdał przy gitarze, a pies jego wyciem chwalił pański talent, owdzie sentymentalna piękność z oczami utkwionemi w niebo, czyli raczéj w sufit pokoju, deptała paluszkami po miękich klawiszach starego fortepianu, szukając z mozołem akordu do aryi, którą tak lubił adjunkt sądowy, tam znowu dwie córki pani konsyliarzowéj męczyły od kilku miesięcy cztéry pulchne ręce swoje nad wygraniem jednego walca, który miał być prześliczny. (Trzeba było wierzyć w to na gołe słowo, bo grą nikogo o tém przekonać nie mogły, a to z powodu taktu, który pannom konsyliarzownym stawiał niejakie trudności w oddaniu tych prześliczności walca.) Jeżeli do tego dodamy jeszcze organistę, dającego każdéj sumy koncerta na huczących organach, woźnego, który z nut akompaniował mu na wielkim bębnie, i starego niemca, którego gra na katarynce pełna taktu i precyzyi w wykonaniu, była niedoścignionym wzorem dla muzykalnych Pipidówczanek, nie będziemy się dziwić, dlaczego to miasto z nieprzeliczonych zastępów świętych tylko ś. Cecylią wybrało i ku jéj czci figurę postawić zamierzyło. — Szło tylko o to, gdzie postawić? Każdy z obywateli życzył sobie mieć ją w pobliskości swego domu; ksiądz proboszcz radził kościół, ofiarując się własnym kosztem dać omiatać co miesiąc figurę z pyłu i pajęczyn, motywując przytém swój wniosek tém, że święta stojąc na otwartém miejscu, dużoby ucierpiała od słoty i ostrego klimatu; na co uczony archeolog (który ten tytuł dodał sobie do poważnego urzędu archiwisty), odparł, że o ile sobie ze szkół przypomina, posągi w Grecyi na otwartém stały miejscu, że jeżeli koniecznie o to idzie, na deszcz i słotę i dla ochrony od wróbli, można czcigodny posąg słomą obwijać — a na publiczném miejscu stać musi, bo nie ścierpi, aby taka ozdoba miasta miała stać w ukryciu i nie być widzianą przez przejeżdżających podróżnych. Wywiązała się ztąd żywa kłótnia — miasto podzieliło się na dwa obozy tak zwanych publicystów, tj. tych, co ś. Cecylią na publiczném miejscu widzieć chcieli, i na kościelnych; powstały ztąd nie-

chęci, swary, plotki. O co? o posąg, którego jeszcze nie było i który pewno nigdyby nie przyszedł do skutku, gdyby nie troskliwość pana burmistrza, który dbały o swoją nieśmiertelność, związaną ściśle z chwałą ś́tej Cecylii, ciągle przypominał obywatelom:

— Panowie, nie zapominajcie o tém, że ś. Cecylia nie ma figury.

Jako najwłaściwszą drogę ku sprawieniu figury osądzono teatr amatorski. Pipidówka poszła w tym względzie za przykładem Krakowa, gdzie najzawilsze kwestyje dobroczynności rozwięzują się zapomocą tych środków, tak dalece, że tam nie tańczą, nie pocą się, nie bawią, nie wydają książek tylko na cele dobroczynne a artysta dający koncert chcąc zwabić publiczność, powinienby na afiszu zamiast tytułów honorowych wypisać się członkiem towarzystwa dobroczynności. — Otóż ten przykład naśladując Pipidówka, postanowiła urządzić teatr amatorski dla sprawienia figury patronce swojéj — a p. burmistrz z powodów, o których było wyżéj, nie tylko nic nie miał przeciw temu, ale owszem gorliwie myśl tę popierał. — I temu to winien byłem gościnne przyjęcie jakiego doznałem w domu szanownego dostojnika, skoro tylko był łaskaw spostrzedz nas.

— A! to panowie! — zawołał zrywając się — przepraszam, nieuważałem, tyle zajęcia... proszę siadać.

— Pan literata — przedstawił mnie mój przewodnik.

— A wiem, słyszałem — i ja sam panie dobrodzieju w młodości bawiłem się tém. Ho! ho! ho! Co się to wierszy napisało — o czém pan chcesz. Było to właśnie wtedy, kiedy i Mickiewicz zaczął pisać, tylko on panie w innym powiecie, a ja w innym. Pan słyszał pewnie, o Mickiewiczu? Tęga głowa, ale się ani umył do Getego — prawda panie — co? — O! jaka to prezencyja? mówił pokazując na portret wiszący nad łóżkiem i pozując się na jego podobieństwo.

— Sądziłem, że to pański portret — odezwałem się wstydząc się sam przed sobą za kłamstwo, jakie palnąłem.

Burmistrza to pogłaskało, uśmiechnął się zadowolony i rzekł:

— Ej Boże, gdzie mnie téż tam do tak wielkiego człowieka. On panie był ministrem — a człowiek burmistrzem zaledwie. — Ot, zwichnąłem karyjerę i basta. — Człowiek panie do czego innego był stworzony, tylko okoliczności.... Ale jest, jest podobieństwo — pan to nie pierwszy zauważyłeś. — Był tu jeden bardzo wykształcony człowiek — także przejeżdżający. Bo o tutejszych panie to nie ma i mowy; tu panie nawet nikt nie wie kto to był Gete. Czy pan uwierzysz temu? — No, wyjąwszy pana Wszędobylskiego.

Pan Atanazy skłonił się za ten łaskawy wyjątek dla siebie.

— I może nawet nie wiedzą — odezwałem się — jakie to śliczne rzeczy ten wielki człowiek pisał.

— Ale nic panie nie wiedzą.

— I nie znają jego Hamleta, Don Juana, Raju utraconego? pytałem daléj wyciągając na próbkę uczoność burmistrza.

— Nic panie z tego nie znają. Mówię panu ignoracyja w wysokim stopniu. No, ale może przejdziemy do salonu.

Zwrotem tym burmistrz chciał się wycofać od dalszego egzaminu i uspokoić niecierpliwość pań, które (o ile uważałem) podczas naszéj rozmowy co chwila zaglądały przez uchylone drzwi i niepokoiły się.

Weszliśmy więc do salonu pełnego woni i pań. Kanapa była gęsto obsadzona przez cztery damy, które nie siedziały ale tłoczyły się jedna na drugiéj, żadna bowiem niechciała ustąpić drugiéj tego honorowego miejsca. Od kanapy w półkole siedziały panny różnego wieku i kształtu w dziwacznych kostiumach, które w Pipidówce uchodziły za ostatnią modę, z rączkami na krzyż, oczami spuszczonemi, ustami zasznurowanemi. Paru starych ojców zakończało półkole, kilku dandysów stało za stołkami pań w trzeciéj pozycyi, rywalizujący między sobą kolorem krawatek i elegancyją czupryn.

Za wejściem naszém wszystkie głowy i główki kiwnęły jakby za pociągnięciem sznurka; nastąpiło przedstawienie, podczas którego zrobiłem szybki przegląd pań. Na kanapie archeolog mógłby robić ciekawe studyja nad krojem sukien materyjalnych i strukturą włosów; czego ja, jako nie mający potrzebnych kwalifikacyj do téj umiejętności, nie podejmuję się i od kanapy przeszedłem wprost do wieków nowszych, czyli mówiąc poetycznie: do panien. Co mnie szczególniéj uderzyło, że wszystkie twarze piękności Pipidówki (a były przeróżne: i blade i burakowe — i gotyckie i bizantyńskie — i wypukłe i wklęsłe); otóż, że te wszystkie grzeszyły nosami przeciw estetyce. Na ośm panien żadnego uczciwego nosa — to rozpacz dla malarza, rzeźbiarza, dla poety, dla rodziców, a nawet (jak przypuszczać mogę) dla panny saméj.

Dotąd poeci i powieściopisarze małą bardzo przywiązywali wagę do téj szlachetnéj części twarzy; u nich oczy a raczéj oko było wszystkiém. Nowsze dopiero pojęcia estetyczne przyznały nosowi należne stanowisko i przyznały, że w nim właściwie maluje się dusza. — Spróbujmy bowiem zawiązać chusteczką nos, jakże wtedy najpiękniejsze oczy tracą swój wyraz, robią się nieme, sztywne i najpiękniejsza piękność w tym stanie malowana nie zachwyciłaby nas. Przeciwnie pomyślmy sobie tę samą na obrazie z oczami zawiązanemi, a zobaczymy, że reszta twarzy nic na tém nie traci. Owszem ta niepewność w twarzy i ruchach nadaje kobiecie nowego wdzięku, każe nam podziwiać jéj zarumienioną twarzyczkę, jéj ustka rozchylone i uśmiechnięte. Wie-

działy dobrze o tym sekrecie nasze babki wymyślając grę w ślepą babkę. Otóż w obec tak ważnego stanowiska, jakie nos zajmuje w dziedzinie piękności — noski Pipidówczanek uwalniają mnie od opisywania ich piękności. Wszak nie to piękne, co piękne, ale to co się podoba, czego najlepszym dowodem pan aplikant sądowy zapatrzony na cytrynową płeć panny Katarzyny.

Choćbym nawet miał chęć do opisów i spostrzeżeń nie było na to czasu, bo p. burmistrz wnet zagaił posiedzenie słowami:

— Otóż pan literata będzie łaskaw....

Skłoniłem się, przyczém nastąpiła wzajemna wymiana ukłonów. Wyjąłem manuskrypt i rzekłem:

— Komedyja nie wielka; potrzeba będzie do niéj trzech panów i trzy panie.

— A to właśnie dobrze — odezwała się konsylijarzowa do córek — wy dwie, a Olimpija trzecia.

— To zależy od tego, jak ten pan osądzi, może on inne obierze — odparła urażona pani Giętkogipska, która miała także słuszne prawo domagania się udziału swych córek w rzeczy tyczącéj dobra publicznego.

— Nie tak to łatwo grać teatr, jak się paniom zdaje — rzekła sentencyjonalnie pani burmistrzowa. — Moje córki znają się troszeczkę na têm, bo już grały nieraz komedyję.

— Zawsze... dodała złośliwie po cichu konsylijarzowa.

— Co zawsze?

— Zawsze lepiéj, że się na zdanie pana literata spuścimy — dodała konsylijarzowa.

— Mnie będzie trudno, bo nie mam przyjemności znać pań, odezwałem się.

— To moje córki — zawołała prędko konsylijarzowa wskazując na dwie panny, które gdyby nie tusza, ospa i noski mogłyby nawet być dość miłemi.

— A to moje — dodała prędko burmistrzowa.

— A to moje....

Przedstawienia sypały się jak ogień rotowy. Ja w ciągłych byłem ukłonach.

— Bardzo mi przyjemno... bardzo mi miło... powtarzałem — ale takie poznanie, przyznają panie, nie wystarcza jeszcze do obsadzenia ról.

— A jakże pan chcesz jeszcze poznawać? spytał jeden z ojców milczący dotąd.

— Jabym sądził, odezwał się drugi, że dla uchylenia nieporozumień należałoby wszystkie panie wystawić na scenie. Jakem bywał w Krakowie, to ja to widywałem takie sztuki; tylko nie pamiętam jak je tam nazywali wtedy.

— Niewiniątka może? podpowiedziałem.

— A pfe! uchowaj Boże. Tytuł był o wiele przyzwoitszy.

— To może „siedm dziewcząt pod bronią".

— To, to właśnie. A że tu ich mamy ośm....

— Mój mężu proszę trochę inaczéj się wyrażać — zauważyła pani konsylijarzowa z kanapy.

— A cóżem takiego strzelił serdeńko?

— Tu nie są dziewczęta, tylko panny — rozumiesz?

— No, to się zatytułuje: „ośm panien pod bronią" i basta.

— Jabym się ośmielił zrobić uwagę — odezwał się drugi papa — żeby pan literata w swojéj komedyi zamiast jednéj córki (bo pewnie córka wchodzić tam musi) zrobił ich sześć. Kilka córek więcéj, to przecież nie robi różnicy.

— Djabła tam nie robi — szepnął półgłosem łysy.

— Mój mężu, bardzo proszę bez uwag — upomniała go znowu żona.

— Ja sądzę, że o tych rzeczach czas będzie rozprawiać po przeczytaniu komedyi.

— Słusznie, bardzo słusznie — zawyrokował burmistrz — więc prosimy.

Usiadł i przyłożywszy dłoń w kształcie trąbki do ucha usposobił się do słuchania i sądu, do którego czuł się upoważnionym, jako jedyny reprezentant inteligencyi w Pipidówce.

— Zanim rozpocznę czytanie komedyi — rzekłem nieśmiało — pozwólcie państwo, że kilka słów przemówię o celu, w jakim ma być graną. Każdy mi przyzna, że św. Cecylija ma już ugruntowaną sławę.

— Chwalę panie, chwałę — poprawiła mnie pani burmistrzowa — tylko o świeckich ludziach mówi się: sławę.

— A więc chwałę. Rafael uwiecznił ją swym pendzlem, Włochy i Niemcy postawili jéj kilka świątyń; ta więc mała figura będzie bardzo słabym i nic nieznaczącym doczynkiem do tamtych; gdy tymczasem pieniądze te w inny sposób użyte....

— A czyż może być coś ważniejszego nad rzeczy święte? spytała znowu burmistrzowa, zamykając pobożnie oczy i wzdymając nozdrza westchnieniem.

— Otarcie łez bliźnim, pomoc potrzebującym to także rzecz święta i św. Cecylija pewny jestem, że nie odmówi jak dotąd szanownym damom grającym swéj pomocy, gdy zamiast postawienia figury nakarmią głodnych, odzieją nagich. Nie naśladujmy w tym względzie dewotek krakowskich, które tysiące sypią na budowanie kaplic, klasztorów, na utrzymanie przerozmaitych kongregacyj, a na wsparcie ubogich powoli i skąpo grosz kapie. Sądziłbym więc, że może lepiéjby było, aby teatr urządzić na wsparcie tych, co obdarci wracają ze Sybiru, co głodni tułają się za granicą. Mamyż bez zarumienienia i wstydu patrzeć, jak obce rządy rzucają im jałmużnę, a my im pomódz nie możemy i nie chcemy?

— Cóż to? kazanie? spytała półgłosem konsylijarzowa patrząc na aptekarzową i ruszając ramionami.

Pytanie to skutkowało jak zimna woda — zreflektowałem się, żem głupstwo palnął chcąc wmówić w mieszkańców Pipidówki, aby byli lepsi od drugich. Zmieniłem więc co prędzéj front i kłaniając się grzecznie pani burmistrzowéj rzekłem:

— Przepraszam panią dobrodziejkę, to nie było kazanie ale bluźnierstwo. Bo jakiémże czołem śmiałbym żądać od Szanownych Państwa zrzeczenia się tak świątobliwego votum na rzecz ludzi, którzy ręce swoje pławili w krwi niewinnych wrogów naszych, którzy kraj wtrącili w przepaść nędzy i ucisku: którzy, że się tak wyrażę, są, że tak powiem, wrogami kraju własnego. A nadto, czémże byłaby dla nich ta chwilowa pomoc? Znikłaby prawie bez śladu zapomniana przez świat, a nawet przez tych samych, którym pomoc nieśliśmy. Gdy tymczasem figura św. Cecylii stać będzie wiekopomnie. I nas już nie będzie, a kamienna figura pokoleniom pokoleń naszych mówić będzie:

„Patrzcie! takie dzieła tworzyły naddziady wasze!“

Słuchacze moi osłupieli, nie wiedząc co myśleć o mnie. Jeżeli pierwsze odezwanie się moje dziwném im się wydawało, to drugie do reszty ich zbałamuciło; patrzeli po sobie z arcykomicznemi minami nie wiedząc co powiedzieć, nie pewni czy drwię, czy na seryjo mówię. Jeden tylko burmistrz, który się nieco znał na figurach retorycznych, uważając słowa moje za tak zwaną „ironiję“, począł usprawiedliwiać siebie i miasto.

— Widzisz pan dobrodziej, my nie bylibyśmy od tego, żeby się i tym biedakom coś dostało; ale widzisz pan ciężkie czasy, grosz grosza goni, człowiek się uszczupla jak może. Czy pan uwierzysz, że ja sam, jak mnie tu pan widzisz, od miesiąca nie pozwoliłem sobie kieliszka madery?

— Boleję nad pańskim losem.

— A moje córki — wtrąciła konsylijarzowa — piją bawarkę zamiast kawy przez oszczędność.

— Ależ mamo nie przez....

— Kaziu! bardzo proszę bez uwag i poprawek. Kiedy matka mówi: przez oszczędność, to przez oszczędność.

— Biedne panie! — jęknąłem żałośnie.

— Nie tak bardzo jak się panu zdaje — odparła pospiesznie mama patrząc na aplikanta sądowego, który z wielką uwagą zdawał się przysłuchiwać téj kwestyi finansowéj i jakby dla uspokojenia go rzekła do mnie: niech się pan nie troszczy, mają one coś....

— Domyślałem się tego.

— Nie wiele, nie wiele — mruknął konsylijarz.

— Mój mężu, proszę cię nie wtrącaj się w to, co do ciebie nie należy.

— Jakto? czy o córkach mówisz duszeńko, czy o majątku?

— O niczém nie mówię — przerwała z gniewem konsylijarzowa, która nie mogła się z własnych słów wyplątać. — Nie przyszłam tu, żeby się spowiadać; ale słuchać komedyi.

— O komedyję! prosimy o komedyję! powtórzyło kilka głosów.

Ulegając powszechnemu żądaniu, wydobyłem manuskrypt, rozwinąłem, poprawiłem włosy, krawat — stołek — chrząknąłem i począłem:

— Tytuł komedyi jest: „Polowanie na męża“.

— Czyli? dodał burmistrz.

— Jakto: czyli?

— No, przecież sztuka o jednym tytule być nie może. Ja się panie znam na tém.

Między paniami na kanapie powstały jakieś szepty, szmery — poważne głowy mam poczęły nachylać się ku sobie i odwracać jak topole wiatrem kołysane — szmer począł wzrastać w wyraźniejsze słowa.

— Czy mi się zdaje — spytałem — że panie chcą zrobić jakąś uwagę?

— Tak jest mój panie — odezwała się pani konsylijarzowa, najsilniejsza reduta w kanapowéj twierdzy, najgęściéj się odstrzeliwająca — tak jest, bo nie rozumiemy wcale, co pan przez ten tytuł chcesz powiedzieć.

— Nie ma w nim żadnéj allegoryi, trzeba go poprostu rozumieć tak jak jest: polowanie na męża.

— Mój panie, to się pan bardzo myli; nikt tutaj nie myśli polować na mężów. I jeżeli moje córki doszły do tych lat, to nie dla tego, że nie mogły, ale że nie chciały iść za mąż. Tak!

Słowom towarzyszyła żywa gestykulacyja i ponsowy rumieniec.

— Ależ pani dobrodziejko, jakżebym ja śmiał posądzać Pipidówkę, a jeszcze bardziéj szanowną konsolacyję państwa o coś podobnego. Ta historyja dzieje się zupełnie gdzie indziéj.

— A, to co innego — to przepraszam. Więc słuchamy.

Zabrałem się tedy do czytania. Jednym tchem, jak to mówią, wyrecytowałem całe dwa akty, zamykając tym sposobem drogę do uwag, które słuchający, a szczególniéj burmistrz jako kompetentny, robić mieli ochotę. Gdy skończyłem, pani Giętogipska zerwała się z kanapy i pożegnawszy gospodynią domu, z pośpiechem poczęła się ubierać.

— Gdzież tak prędko? cóż się stało? pytano.

— Fipciu! ubieraj się — zawołała na córkę głosem urwanym, zadyszanym.

— Ależ, cóż się stało? spytał burmistrz.

— Co się stało? co się stało? Ja się nie pozwolę obrażać przez byle kogo.

— Któż panią śmiał obrazić?

— Kto? O, ja się poznałam na tych sztuczkach i nie myślę być wcale celem żartów jakichś literatów, bazgraczy. Mój panie — dodała furioso zwracając się

ku mnie — wiedz pan, że moje dziecko nie tylko szewca, ale nawet literata żadnego za męża nie potrzebuje. A jeżeli odmówiła rękawicznikowi, to i tak starą panną nie zostanie. Chodź Fipciu.

Z szumem, hukiem, trzaskiem opuściła salon i zostawiła mnie na środku z manuskryptem w ręku odurzonego, osłupiałego tą sceną, z której nie wiele zrozumiałem.

— Cóż się stało? — spytałem, zwracając się do burmistrza.

— A toś jéj dogodził — mówił burmistrz, dusząc śmiech w sobie i trzęsąc rękami z ukontentowania.

— Ale w czém?

— Powiadam ci wyrznij kacie — ona i córka. Opisałeś je do nitki.

— Ależ ja tych pań nigdy w życiu nie widziałem.

— No no, no, już nas nie oszukasz. Ja się znam na tém. Ta to widocznie ona, wykapana ona. Nawet drzwi u nich tak samo rozłożono — a to okno na ulicę.. A! przepysznie ci się udało. Przepysznie!

Daremnie było przekonywać burmistrza i całe towarzystwo, które w najdrobniejszych szczegółach umiało upatrzeć podobieństwo; — ruszyłem tylko ramionami i chcąc zwrócić rozmowę z tego przedmiotu, rozpocząłem mówić o rozdzieleniu ról.

Z mężczyznami było pół biedy. Pan adjunkt wprawdzie utrzymywał, że nie ma zdolności na ojca, ale pan konsyliarz przekonał go, że zbyt stronnie sądzi o sobie. Aplikant sądowy wymawiał się, że niezdatny na kochanka, czemu się panna Katarzyna stanowczo sprzeciwiła — i w końcu jakoś wszyscy dali się namówić. Inna rzecz była z paniami. Do przyjęcia roli babci ani sposób było żadnéj namówić. I tak zaczęły jedna drugą tą rolą częstować, tak w końcu dostała się czternastoletniéj Kasi, która ją z dziecinną ochotą przyjęła.

— Kasiu! połóż to — zawyrokowała mama.

— Ależ proszę mamy...

— To nie dla ciebie.

— I cóż to w tém trudnego udawać babcię? Będę wciąż pończochę robić i mówić przez nos. Prawda panie?

— I wyglądać jak czupiradło.

— A proszę mamy i cóż to szkodzi? Przecież każdy będzie wiedział, że ja nie taka brzydka jak się zdaje. To będzie zupełnie przeciwnie jak Ka...

— Kasiu! proszę milczeć — przerwała jéj w samą porę matka. — Ja nie pozwalam i basta.

— Więc babci nie będzie? spytałem.

Głuche, uporczywe milczenie było jedyną odpowiedzią.

— A choćby który z panów — zaproponowałem.

— Prawda! Jak Boga kocham genialna myśl — zawołał burmistrz. — Ta to ja od mego nieboszczyka ojca wiem, że po jezuickich szkołach wszędzie młodzież brała na się role białogłów, bo niewiastom jak pan wiesz do klasztoru nie było wolno. A! genialna myśl. Widzisz pan w samą porę mi przyszła do głowy.

Nie sprzeczałem się z burmistrzem o ojcostwo téj myśli, ale raczéj myślałem nad jéj wykonaniem.

— Gdyby pan Atanazy — wybąknąłem.

— Pan Atanazy, prawda! doskonale.

— Ależ ja mam wąsy, brodę.

— Nie wielkie, znać nie będzie. A choćby ci je zgolić przyszło, wszak to dla ś. Cecylii. Nazio! jak mnie kochasz!

Tu burmistrz z dubeltówki wycałował usłużnego Atanazego. Szczęściem, że projekt ten i paniom się spodobał. Ulegając ich słodkim rozkazom p. Atanazy, ofiarował się poświęcić wąsy, brodę i całą godność kawalerską dla dobra publicznego; pani burmistrzowa ofiarowała się pomyśleć o garderobie babci.

Tylko przez litość nie mówcie o tém nikomu — prosił burmistrz — niech nikt nie wie, rozumiecie? ciekawym, czy poznają? Toż to będzie niespodzianka. — Widzisz pan — rzekł zwracając się do mnie — gdyby nie ja! nieby nie było. Masz mnie pan podziękować, że komedję grać będziemy. O! będziemy, już ja w tém, że będziemy.

Skłoniłem się za tę łaskę, kontent, że mi jeszcze burmistrz za granie mojéj komedyi zapłacić nie kazał i zająłem się co prędzéj rozdaniem reszty ról.

Kazia po dość długiéj opozycyi ze strony mamy, która nie chciała zezwolić na takie poniżenie rodzonego dziecka domu obywatelskiego — wzięła rolę pokojówki. Została jeszcze rola Anieli; sądziłem, że przynajmniéj o rolę głównéj bohaterki dobijać się będą; ale i ta rola nie nęciła żadnéj, a to głównie dla tego że się nie kończy małżeństwem, czém wszystkie panie były zgorszone. Jedna drugiéj przez grzeczność ustępowała téj roli i byłaby się znowu dostała do Kazi, gdyby panna Kunegunda nie zrobiła z siebie poświęcenia i nie przyjęła na swoje staropanieńskie barki roli młodéj panny. Panna Kunegunda miała prześliczną kibić; krucze, długie włosy i tylko brak jéj było pięknéj twarzy, aby ją można było nazwać prześliczną.

(Ciąg d. n.)

Jagiellonki polskie w 16. w.

(TOM III.)

przez **Aleks. Przezdzieckiego.**

Z królewskich paniąt pozostała więc w domu już tylko jedna Anna. Izabella już dawniéj umarła; Katarzyna zasiadła na szwedzkim tronie, Zofija brunświcka ks. i Jadwiga brandeburgska ks. niebawem owdowiały.

Związki rodzinne pomiędzy siostrami utrzymywały się jedynie zapomocą listów — a gdy brat Zyg. August zanadto był sprawami Rzeczypospolitéj, dokonywającą się unią z Litwą i własnemi interesami zajęty — więc Annie w sieroctwie i osamotnieniu lata upływały.

O żadną z królewien nie było tyle starań, a jednak niemogła wydać się za mąż.

Już w r. 1562 i kilkakrotnie potem czynił o nią starania Magnus ks. duński, lecz nieporozumienia i wojny rozbily te swaty zwłaszcza, że mu Zyg. August nie sprzyjał. Następnie starał się o nią ks. Palatyn Ryszard, rozpytując się jednak wpierw o jéj posagu. Pisze o tém Zyg. August do powiernika swego Radziwiłła: „Z osobliwą téż wdzięcznością przyjmujemy od W. M. co piszesz Nam oznajmując, że brat dzisiejszego Falegrafa przypytywa się ku sprzyjaźnieniu z nami, około królewny J. M. Anny siostry Naszéj, i radby wiedział dostatecznie wszystek posag.... A tak jeżliby się nam zdało, żebyś W. M. tam co jemu kazał natrącić o tém. Zaprawdę trudnoby mogła być rzecz która pocieszniejsza nad tę, żebyśmy widzieć mogli ten stan (małżeński) królewny J. M. siostry Naszéj, a dłużéj tego obowiązku na sobie nie nosili. O posag wiesz W. M. jaki jest dan za królewną J. M. ks. Finlandzką (patrz Nr. 17.), o czém możesz W. M. nieco z daleka kazać natrącić". Lecz mimo przychylności króla i ta swadźba się nie udała.

Królewna Anna napróżno oczekując obiecanego zamążpójścia, czterdziestodwu letnia panna, mieszkała najczęściéj w Warszawie, a nie przy żonie brata — gdyż jak wiemy, nie było tam rodzinnego pożycia. Do Wilna wyjeżdżała na wesele siostry za ks. finlandzkiego i pozostal rachunek hafciarza za suknie i ubiory sporządzone dla niéj na tę uroczystość. Trzeciemi z kolei swatami zajmował się szwagier jéj ks. brunświcki rająć jéj Eberharda syna ks. Wirtembergskiego — lecz zanim jeszcze rozpoczęto układy, tenże umarł. Referendarz Czarnkowski popierał następnie ks. Pruskiego, ale się to królowi nie zdało i kazał dać pokój. A że już król wtedy mocno był podupadł na zdrowiu i myślano o jego następcy, więc też zaraz z Wiednia się odezwano. Przybył poseł cesarski mając poruczenie od cesarza żądać za żonę królewnę Annę, dla arcyksięcia Ernesta, ale zarazem radzić panom, żeby go za króla obrali, co wszystko się nie udało.

I mijały królewnie wielce bogobojnéj dalsze lata w smutku i utrapieniu. Z dworu królewskiego rozchodziło się podówczas wielkie zgorszenie ile że król, po trzykroć wdowiec, a nieprzywykły do samotności, w różnych po kolei pannach się rozmiłowywał. Martwiło to srodze Annę, tak iż z oburzeniem pisze do jednéj z sióstr: „...co się tu dzieje... dziwy wielkie; jako się ta Warszawa nie zapadnie dla grzechu jéj".

Miałać królewna osobny dwór, ale w opuszczeniu swojém ciężko jéj nieraz było, że aż dziw bierze, czytając takie własne jéj uskarżenia: „...co sam około mnie wielki niedostatek, iż drugdy nie mam co włożyć już ani ja, ani słudzy; owo złe za wielkiém niebaczeniem J. K. M. co rozdał tak wiele; podobno przyjdzie mi zastawiać co swego, co Boże uchowaj. Jedno zalawszy łzami oczy i ja i słudzy, wie to Pan Bóg, co daléj będzie ze mną. Słałam do J. K. M. opowiadając, iżem nie miała nic na wieczerzę, prosząc J. K. M. przez p. Konickiego, opowiadając swe niedostatki wielkie i sług. Powiedział, że chce opatrzyć; ze wszystkiego nic tysiąc razy. Chowają to się przy nim ze wszystkim narodem, na wszystkiém dostatek, i sługę jéj Zajączkowską, nie masz im na niczém zbywać, wiesz to Bóg, co będzie. A tak W. K. M. rozumie, jaką żałość serdeczną mam, iż czasem nie ma co jeść".... Wielkie miała królewna zmartwienie o tę Zajączkowską, jednę z swoich panien dworskich, w któréj się król rozmiłował i pojąć ją chciał. Nastąpiła po niéj w łasce słynna Giżanka, mieszczańska córka z Warszawy. — Ale były to już ostatnie dnie króla i niezadługo, w lipcu r. 1572 zmarł bezpotomnie — dzieląc majątek równo między trzy siostry.

Z całéj rodziny Jagiellońskiéj pozostała jedna Anna w kraju, gdzie się na wielkie zamieszanie elekcyją itd. zanosiło.

Coraz smutniejszy był los jéj: „Nie wiem jakom jest, jaką nadzieję mam około sieroctwa swego. Chcą, abych wolę swą im opowiedziała; ja ani rozumu nie mam w tém od Pana Boga utrapieniu, bo to co wiecznie rozmyślaném ma być, nie mam się nikomu zwierzyć.... Jedni ofiarują się mi we wszystkiém pomocnymi, a drugich mam wielkich nieprzyjaciół przez (bez) winy méj.... Jako żywo na żadnę Królewnę nie przyszły wielkie rzeczy jako na mnie. Nie masz z kim poradzić ani rozmowę mieć, o wszystkiém chcą wiedzieć, a nie chcą, abych żadnéj rzeczy nie czyniła prze (bez) ich rady, i odesłali mnie do Płocka, abych nie jechała do ciała żadną miarą... zawżdym jest w mocy a rozkazaniu ich.... Ależ ja nie tylko strony śmierci, ale i z inszych przyczyn (!) odnoszę wielki żal i utrapienie serdeczne, tak żem już zaledwo żywa"....

Aż do tych wypadków przyprowadza nas Sz. Autor w T. III. Dalsze losy królewnéj Anny wiadome nam są z dziejów. Mającą przeszło 50 lat oddano ją wraz z koroną młodszemu od niéj Stefanowi Batoremu w małżeństwo. Nie było potomstwa z tego stadła, czego sobie właśnie pp. Rad koronnych życzyli i zakończył się na niéj ród Jagielloński w Polsce.

Zapewne nam Sz. Autor w IV. T. dalszą korespondencyją i nowe dokumenta poda dla uzupełnienia żywota téj świątobliwéj pani.

Chybiony pocisk.

Wlazł Amorek w kukurydzę
Myśląc, że ja go nie widzę —
I tam czając się za liście,
Mierzył we mnie oczywiście
W samo serce psotnik mały.
Lecz ja baczna, właśnie w chwilę,
Gdy wypuszczał z łuku strzały
Schyliłam się, i w kimś w tyle —
Strzałę co w powietrzu warczy —
Utkwił silnie jakby w tarczy.

Smutne nieuwagi skutki:
Za mną młodzian szedł milutki,
Dążąc wspólnie w jedne strony.
I ten został ugodzony, —
Odtąd czuje niepokoje;
Marząc błądzi w ślady moje
I wyrzuca mi ze łzami
Boleść swoją gdyśmy sami —
Cóż pomogę, trudna rada,
Niech świat sądzi, czy w tém zdrada,
Że on cierpi mękę srogą,
Pocóż chodził moją drogą?

Amelija P. —

Zarys dziejów literatury polskiej... dla użytku szkolnego — nakreślił *Adam Kuliczkowski.* Lwów 1869. — Nakładem K. Wilda. — Wielce już zasłużony, a jedyny w naszéj prowincyi wydawca K. Wild, dostarczył nam znowu bardzo potrzebne i pożyteczne dzieło. Literatura p. Kuliczkowskiego ma wszystkie zalety, jakich się po szkolnéj książce wymaga: jasność podziału, treściwość, omijanie licznych określeń (definicyj) i zagmatwania przez drobne szczegóły. Oszczędność w słowach i ścisłość są to warunki nieodzowne, jeżeli książka ma mieć praktyczną wartość dla nauki szkolnéj, a przymiotami temi odznacza się właśnie dzieło p. K.... Ogólne cechy epok są wybornie streszczone, rzuty oka na dzieje polityczne podają właśnie tylko to co potrzeba, jak również zwięzłość rozdziałów o epoce scholastycznéj, o kronikarstwie, odpowiada w zupełności zadaniu książki. Widać, że autor zna z praktyki potrzeby szkoły, to też literatura jego jest niezaprzeczenie najlepszą z pomiędzy dotychczasowych podręcznych książek w tym przedmiocie i zapewne przez Radę szkolną zaleconą będzie. Oczekując na drugą część, wzywamy zarazem autora, ażeby uzupełnił pracę swoją drugą podręczną, a mianowicie wypisami ułożonemi tak, aby odpowiadały tokowi rzeczy w literaturze jego przejętemu. Wypisy takie są bardzo potrzebne, powinny mieścić i obszerniejsze wyjątki z kronik — a dotychczasowe wypisy nie mają naukowéj wartości.

Spodziewamy się, że książka p. K. będzie przyjętą po szkołach i doczeka się powtórnych wydań, dlatego zapiszemy tutaj i braki, jakie w niéj ze stanowiska umiejętnego widzimy, a które następnie autor wypełnić powinien. Braki te tyczą się bądź samego toku rzeczy, bądź szczegółów, i tak: Unikając mglistych definicyj, przyjął autor jednak niepotrzebnie krępujacy sposób oznaczenia jednéj, każdocześnie panującéj idei. Jest to mylne, gdyż nie ma epoki, żeby w dziejach a zwłaszcza w literaturze, jedna wyłącznie idea panowała, a jeżeli takową oznaczymy, to należałoby wszystkie utwory, które jéj piętna na sobie nie noszą (str. 1 i 3) z dziejów literatury wykluczyć! W poszukiwaniu téj idei popełnia autor dalszy błąd, uważając ideę klasyczną jako dotyczącą saméj rzeczy — gdy ona przeważnie tylko formy i języka dotyczy. — W prowadzeniu rzeczy nie dopełnił autor daléj warunku, który właściwie dopiero każdéj historyi umiejętną wartość nadaje, tj. wykazania związku przyczyn i skutków *(causalnexus)*. Rozumie to autor sam mówiąc na str. 3: ...„historyja polityczna każdego narodu i historyja jego kultury azatém i literatury, uzupełniają się nawzajem i są poniekąd (zawsze — Red.) od siebie zawisłe. Wypadkom dziejowym przewodniczą zawsze pewne idee, które nim w czynie się objawiły, już istniały w myśli i w słowie, a prócz tego od powodzenia społeczeństwa, jego dobréj lub złéj doli zawisły także charakter, powodzenie lub upadek piśmiennictwa“. — Otóż autor nie trzyma się téj zasady w układzie opowiadania, nie wykazuje czy i o ile literatura była wyrazem myśli, potrzeb i obyczajów narodu, co właśnie jéj wartość stanowi, nie wykazuje albo niedostatecznie związku i wzajemnego oddziaływania na siebie ogólnego stanu cywilizacyi narodu, stanu nauk w szkołach i utworów literackich. Ścisłe wykazanie tego związku uczy daleko więcéj, niż mechaniczne następstwo autorów i ich prac, nic nie znaczący formalny tylko podział na prozaików i poetów, rozważanie poezyi oderwanie; gdy tymczasem jest ona zarówno jak i naukowe dzieła, zarówno jak i wszystkie inne sztuki niejakiemś odosobnionem zajęciem — ale z wysokości dziejowéj oceniania należy do całości prac wywołanych potrzebami narodu i warunkami w jakich zostawał.

Pamiętając na te zasady, byłby autor uniknął orzeczeń, które w historyi nie uchodzą. I tak w wieku złotym widzi nagły doraźny rozkwit literatury — zamiast poszukać przyczyn w w. XIV. i XV., w rozwoju państwa i konstytucyi ogarniającéj coraz szersze masy szlachty i popychającéj je do nauki, i zastanowić się obszerniéj nad znaczeniem takich dzieł jak *Ostroroga* i nad stanem oświaty, która takie dzieła wydać mogła

Wartość literatury XVII. w. rehabilituje autor na mocy najnowszych badań, jednak nie odróżnia ogólnéj oświaty i jéj upadku — od saméjże literatury — a tutaj dwa te odrębne koryta wykazać należy. Są pisarze, którzy stoją na wysokości wieku XVI. — gdy przeciwnie literatura codzienna staje się tuzinkową, uprawa umysłów leży odłogiem i społeczeństwo zrywa z zdrową tradycyją. Kierunki te stoją w ścisłym związku z wykoszlawieniem ustawy państwowéj, z jéj wynaturzeniem, oraz z upadkiem reformacyi i jéj szkół. Autor wcale się nad tém nie zastanawia, nie rozważa wpływu reformacyi i jéj szkół wybornych na ożywienie ruchu umysłowego; a następnie koniecznego upadku oświaty w skutek upadku reformacyi, a przewagi Jezuitów. Traktował nie reformacyi jako kacerstwa nie odpowiada godności i wysokości poglądu historycznego. — Późniejsze odrodzenie stwierdza powyżéj oznaczony związek, gdyż równocześnie występuje reforma szkół Konarskiego, i usiłowania politycznéj naprawy Rzeczypospolitéj. Należy więc w dziejach literatury bliżéj się zastanowić nad stanem szkół i wartości literatury politycznéj — ale nie odrębnie, lecz zawsze w związku ze sobą, z ogólną oświatą i rozwojem politycznym. Sprawy te w książce szkolnéj nie mogą być wyczerpująco podane, ale powinny tam być dokładne i wyraźne wskazówki, punkta wytyczne, o któreby nauczyciel objaśniając mógł się oprzeć.

W rozdziale o literatnrze przedhistorycznéj, należy koniecznie pomieścić pogląd na literaturę ludową, dzisiejszą, o ile na owe czasy rzuca światło i zabytki przechowuje. Należy téż unikać niepotrzebnego używania wyrazów obcych (deliberacyja, egzystencyja).

To są wady, które ze stanowiska umiejętnego w literaturze p. K. naprawione być powinny, aby się stała doskonałą dla użytku, do którego jest przeznaczoną. Wytykamy je otwarcie i z dobrą wolą, gdyż już w tém obrobieniu, w jakiém teraz książka ta jest podaną, widzimy rękojmią sumienności i zdolności sz. autora.

KORESPONDENCJE.

Lwów w październiku.

Petycyja kobiet do sejmu.

(M). Niespożytą siłę narodu naszego niezawodnie stanowi głównie to, że idea Polski żyje w sercach kobiet — żyje w rodzinach, gdzie ducha narodowego zgnieść usiłująca potęga zwycięzcy żadną miarą sięgnąć nie może.

Jeżli historyczna rola kobiet tylko zewnętrznie różni się od działania dziejowego mężczyzn, a w ostatecznym wyniku wartość i znaczenie jéj jest zupełnie równoważne z tém, co dla rozwoju sił pojedynczych narodów, a względnie dla postępu całéj ludzkości czynią mężczyźni, to dla czegóż tak bardzo zaniedbywano dotychczas pracę nad rozwojem intelektualnych sił kobiet?

Pomińmy już przykłady innych narodów, bo na razie mniéj nas to obchodzi, ale patrzmy co się u nas dzieje pod tym względem. Masy kobiet, nie tylko u ludu, ale nawet w tak zwanych wyższych klasach są nadzwyczajnie mało rozwinięte umysłowo. Natura bogato uposażyła Polki w dobre przymioty, ale jedynie tylko tradycyją przeszłości przekazane nam obyczaje i przepisy wiary nadają jaki taki regularny prąd tym szlachetnym instynktom polskich serc kobiecych — bo zresztą, ogólnie wziąwszy, stoją one pod względem intelektualnym bardzo nisko. To co u nas nazywają dobrém wychowaniem, jest najczęściéj tylko powierzchowną ogładą, bez głębiéj sięgających podstaw rozumowych.

Zkądżeż to pochodzi?

Oto po prostu ztąd, że nieposiadamy należytych środków wychowawczych dla kobiet. Wychowanie kobiety bardzo wiele u nas kosztuje, a najczęściéj wtedy tylko dostatecznie udoskonala serce i rzetelnie umysł wzbogaca, jeźli wychowankę naturalny, wrodzony prąd prze do samoistnéj pracy nad swojém wykształceniem — a takiemi nie mogą być wszystkie kobiety, ale są tylko wyjątki.

O wychowaniu domowém przez nauczycielki w domu utrzymywane (guwernantki), nie ma potrzeby szeroko rozpisywać się, bo każdy wie, ile z tém zachodu, a jak rzadko natrafić można na kobietę, któréj z zupełném zaufaniem powierzyć można dziecię.

Zakłady wychowawcze jakie mamy, posiadają ten charakter, jaki im nadaje osobistość właścicielki. Jeźli przełożona zakładu nie stoi na wysokości zadania, jakie na niéj ciąży, jeźli nie przejmie się niém i niepoświęci mu całą swoją istotę z prawdziwego zamiłowania, to z zakładu takiego wychodzą kobiety mniéj albo więcéj gładko parlujące po francuzku i posiadające inne wymogi dobrego ułożenia, ale zresztą z wiedzą powierzchowną, a z sercem pustém, albo zaprzątnione jednostronną chorobliwą egzaltacyją — odpowiednio usposobieniu przełożonéj.

Zakłady naukowe prywatne są także i dla tego niewystarczające, że nigdy nie są one w stanie rozporządzać takiemi środkami naukowemi, jakiemi mógłby się posługiwać zakład, utrzymywany kosztem publicznym. Wiadomo powszechnie, że żadna z właścicielek pensyjonatów żeńskich w Galicyi nie rozporządza wielkiemi kapitałami, więc przez to samo nie jest w możności utrzymywać do każdego przedmiotu specyjalnie wydoskonalonych nauczycielek i nauczycieli, bo tacy pobierają wysokie honoraryja. Ztąd téż pochodzi, że wychowanie kobiece jest u nas tak kosztowne. Nie ma u nas źródlisk, z których mogłyby czerpać wykształcenie i wiedzę wszystkie kobiety, które posiadają do tego

odpowiednie uzdolnienie i chęć, ale te tylko, których rodzice są wstanie wydać na ten cel wiele pieniędzy.

Gdy mamy w kraju dwa uniwersytety, dwie akademie techniczne i w każdém prawie większém mieście, a we Lwowie i w Krakowie po kilka gimnazyjów i średnich szkół realnych dla młodzieży męzkiéj, to nie mamy ani jednego publicznego zakładu wychowawczego żeńskiego, należącego urzędownie do kategoryi szkół średnich. Zakłady św. Jana i św. Jędrzeja w Krakowie, a otworzony dopiero tego roku wyższy zakład naukowy żeński przy klasztorze pp. Benedyktynek we Lwowie są zakładami przez pół prywatnemi, i nie są w stanie, pomimo zacnych usiłowań pojedynczych, wpływ na nie wywierających osobistości, stanąć na tém stanowisku, na jakiém stać powinny, i da Bóg, staną może kiedyś, ale na którém obecnie nie stoją jeszcze. Niektóre więc szlachetne, a gorąco kraj miłujące kobiety powzięły myśl udania się do Sejmu z prośbą o otworzenie we Lwowie publicznego wyższego zakładu naukowego dla dziewcząt, a we wielu okolicach kraju zbierano podpisy na tę petycyję ze strony takich kobiet, które czują potrzebę ułatwienia dla osób płci swojéj nabywania światła i wiedzy.

Chcąc scharakteryzować jak najdosadniéj szlachetność dążności téj petycyi, najlepiéj to może uskutecznimy, przytaczając następujący z niéj ustęp:

„Oto my niewiasty, mieszkanki téj części ziemi polskiéj, któréj nie zabroniono obecnie czynić usiłowania, ku podniesieniu oświaty i wychowania publicznego, chciałybyśmy wzrastać w światło, aby zacniéj i rozumniéj wykonywać nasze powinności domowe i rodzinne, a przez to lepiéj też służyć dobru powszechnemu. Ośmielamy się więc zanieść prośbę do Wysokiego Sejmu krajowego, aby raczył wziąść pod rozwagę istotną i konieczną potrzebę wyższéj szkoły niewieściéj we Lwowie, i wzniósł ją z funduszów krajowych.

„Instytut taki, któryby miał mowę wykładową polską, uczył głównie i najtroskliwiéj rzeczy ojczystych, zaopatrzony był kursem pedagogicznym, udzielał nauk matematycznych i przyrodniczych gruntowniéj, niż to dotąd bywało w wychowaniu kobiecém, i praktyczniéj, bo z uwzględnieniem przyszłego wychowanek zawodu: gospodyń i matek; któryby obznajmiał dostatecznie ze światem i ludzkością pod względem geografii, historyi, literatury i sztuki, uczył dokładnie obok polskiego obcych, najwięcéj używanych i najpotrzebniejszych języków, byłby nieskończenie pożytecznym i bardzo uczęszczanym.

„Prośbę naszą, odpowiadającą ogólnéj potrzebie i pragnieniom, stwierdzamy podpisami, które wypadłyby niezawodnie bez porównania liczniéj, gdyby nie to, że w zbieraniu ich musiano się ograniczyć na czas bardzo krótki“....

TEATR. — Staranny kierunek, dobór sztuk, znakomici artyści — trzy te warunki sprawiły, że teatr nasz miał w zeszłym roku i konieczny warunek czwarty tj. publiczność. Jako jedna z wyższych przyjemności, stał się potrzebą naszą, dla tego téż wyglądaliśmy z upragnieniem powrotu jego do Krakowa. Dotąd jednak nie można powiedzieć, iżby kurs teatralny naprawdę się rozpoczął; nie znać tego ani po samym teatrze, ani po udziale publiczności. Tymczasowy brak PP. Chłapowskiéj (Modrzejewskiéj), Hoffman i Heniga — nie dozwala mu dobre przedstawianie większych rzeczy robiąc lukę w téj całości, do któréjśmy przywykli, bo umiała zgodnością gry, wzajemném dopełnianiem się wyrobić się i utrzymać jako całość. Tę chwilę przejściową stara się dyrekcyja przebyć za pomocą dwóch środków nie bez korzyści dla sceny i publiczności. Najpierw role opróżnione, pierwszorzędne otrzymują teraz artystki wyrabiające się dopiero — PP. Bauman, Bendówna i Śliwińska odbywają niejako kurs szkolny praktyczny — przyczém będą mogły poznać czego i o ile im niedostaje. P. B. ma warunki po temu, żeby się wyrobić dla ról naiwnych i serdecznych — p. Ś. będzie mogła grywać role lekkie w komedyjach — tylko niechaj pracuje nad głosem swoim, w którym zamiast modulacyj są dotąd same tylko nagłe, ostre, urywane spadki.

Drugim środkiem są role gościnne. W p. Konarskim poznaliśmy wprawnego komika — pp. Nowakowscy mają podobno przybyć — obecnie zaś mamy z Warszawy panią Bakalowicz. Rola Klary w Ślubach panieńskich nie przypada o ile się nam zdaje do talentu p. B. — grała ją dobrze, elegancko, jednak bez tego ognia i humoru z jakim pani Hofman postać tę oddaje. Zato poznaliśmy w całéj pełni talent p. B. w komedyi „Pożar w klasztorze“. Szesnastoletnią pensyonarkę, córkę pieszczotkę oddała z takim wdziękiem, ciepłem i elegancyją; prostota jéj i szczérość, dziecięca ciekawość i budzenie się głębszych drgnień kobiecego serca były u niéj tak prawdziwe i harmonijnie przeprowadzone, że publiczność musiała oddać hołd artystce wzruszeniem, widocznem na wszystkich twarzach i ciągłemi oklaskami. Szkoda tylko, że sama komedyja jest wielce niesmaczną.

Co do repertoaru (z konieczności dziś ciasnego), musimy zwrócić uwagę dyrekcyi, że jeżeli teatr nasz wyzwolił się szczęśliwie z wież piekielnych itp. potworności — to wypadałoby, żeby z drugiéj strony nie ubliżać mu takiemi nonsensami i płaskościami jak „Żyd w beczce“, albo „Zasady pani Henryki“ — jak również mogłoby należeć do obowiązków rezyseryi używać nożyczek, jeżeli się przedstawia np.: „Jeden z nas musi się ożenić“ komedyjkę nie złą, ale w któréj dykcyja często zanadto jest przesoloną.

Zwracamy też uwagę niektórych artystów, że jak zwykle tak i w tym roku przywieźli z podróży pewne

prowincyjonalne narowy, których tu bliżéj wytykać nie chcemy spodziewając się, że pracą wkrótce się z nich otrząsną. Do lepszych przedstawień dotąd policzyć należy: Chęcińskiego — „Ciekawość pierwszy stopień do piekła" — „Miłość i dyplomacyja" — „Zbójcy" — a w których pp. Rapacki i Wolska zawsze zasłużone oklaski zbierają. Ocenienie tych sztuk podaliśmy już w zimie — 13. paźdź. *S.*

*** Nie dla polemiki, ale z uczucia sprawiedliwości musimy tutaj dać wyraz oburzeniu, jakie w mieście naszém wywołał przedostatni feljeton Czasu „z pod Wawelu". Urągać nieszczęściu, pastwić się nad chorobą, wyprawiać dowcipkowe hece wobec płaczu szanowanéj rodziny i wobec smutku współobywateli, to zaprawdę szlachetność, jakiéjby się dziki człowiek wstydzić powinien, ale która przypada do sposobów feljetonisty, nazywającego stowarzyszenia polowaniem na cudzy grosz. — Nie chcemy Redakcyi całéj robić odpowiedzialną za taki wybryk, boć wiadomo powszechnie, że na feljetonie Czasu ciążą przywileje, i wiadomo nam zresztą, że inni członkowie Redakcyi uważają ów feljeton za kompromitujący Czas. — Smutna to jednak rzecz, że podobne przywileje i podobne niegodne nadużycia mogą się dziać jeszcze dzisiaj. Niechajże przynajmniéj będzie zapisane, że jednogłośny sąd publiczny umie jak należy sprawki takie piętnować.

Kronika. Nastała pora katarów i kaszlów, ni ztąd ni zowąd zawiało zimno jak to u nas mówią od Moskala, na plantach jakby wymiótł, muzyka ucichła, wieczory długie, wszystko siedzi w pokoju przy robótce i pogawędce, albo przy beziku, albo przy książce, i tak to już potrwa aż do Nowego-Roku. Lepiéj to przecież w innych krajach. W Hiszpanii np. ciągle panuje gorąco, więc też całe armie odbywają wspaniałe promenady i królowa z całym dworem wybrała się na *Lustreise* za granicę. U nas przeciwnie, mroźne akwilony zagnały już wszystko do domu i z Karlsbadu i ze Szczawnicy i z Zakopanego. Jaki taki na miejskim bruku rozpamiętywa o sielance i bogdance i nieraz ciężkie westchnienia aż za pośrednictwem inseratów losowi powierza. Tak np. był niedawno w „Dz. Pozn." wykrzyknik:

„Gdy zapomnieć chcę o trosce,
I odetchnąć znowu chcę —
Wtedy myślę *o twéj wiosce*,
Za mój kwiatek modlę się" —

i nic w tém dziwnego, skoro jak widać jest to kwiatek, dla którego doniczką jest wioska. Taki kwiatek, to nawet więcéj jak kwiatek, to już jabłuszko, albo gruszeczka, chociaż nie z tych rodzajów, które nagrody odbierają od towarzystwa pomologicznego.

Dzięki temu towarzystwu i dzięki ś. Michałowi, że Kraków jeszcze od zimna nie zakrzepł po domach. Bo oto przez tydzień odbywały się do strzeleckiego ogrodu wędrówki na wystawę sadowniczą i jedwabniczą. Widok to bardzo przyjemny dla oka, dla gospodyń niejedna uciecha i niespodzianka, dla smakoszów niejedna ślinka, dla gospodarzy niejedna poważniejsza myśl i dla kronikarza gratka. Oto w skrzyneczkach i pudełeczkach i na talerzykach jabłka i gruszki i winogrona, nawet poziomki, a śliwki węgierki jak pół pięści, a cóż dopiero marchew taka, że ją we dwie ręce lewo obejmie, a buraki większe od głowy ludzkiéj, a banie to już takie, żeby z niejednéj i kolebeczkę wyżłobił. Tam znowu koszyczki i bukiety z kwiatów zasuszonych w piasku, tak, że ani barwy, ani kształtu nie tracą. Jest to nowy u nas przemysł bo dotąd chyba z Erfurtu można było takich bukietów dostać, a zawsze to przyjemniejszy prawdziwy kwiatek jak z papieru, z wosku lub z chleba. I jaka to dogodność np. dla kochanków; czy zimą czy latem mogą sobie takie kwiatki przesyłać, bez obawy żeby uwiędły, albo barwę straciły, i bez kłopotu zasuszania jak to dotąd bywało i bez możliwych ztąd awantur. Pamiętam np. jedno wydarzenie na pensyjonacie. Nauczyciel bierze książkę od panienki, otwiera, a tu wylatuje z niéj świeża róża ułożona do zasuszenia; niktby nie był zwrócił uwagi na to, ale panienka oblała się w téj chwili karminem, koleżanki poczęły szeptać, trącać się pod ławkami i chichotać, i było z tego potém całe śledztwo. Dzisiaj można odrazu ofiarować już zasuszoną, a świeżą różę i choćby ją kto znalazł np. w rozmówkach francuskich, to już będzie wiedział, że to tylko od ogrodnika Fregera! Można się więc spodziewać, że przemysł ten będzie miał odbyt, a zwłaszcza, gdy nadejdzie karnawał. Tymczasem chodźmy daléj. Oto p. Langie oprowadza włościan, częstuje ich jabłecznikiem, daje kosztować powidła z jabłek i poucza jak to z wszystkiego można mieć użytek i nie marnotrawić darów bożych, jak to zrobił niedawno temu jeden włościanin w Bochni. Przywiózł na targ furę owoców, które w tym roku bardzo obrodziły — nie było jednak kupców. Czekał próżno do wieczora, a że mu żal było koni, wysypał owoce do kanału i odjechał. — Jeżeli to prawda, to jest to w istocie ciekawy rys do stanu oświaty u nas i przypomina się tu ów pies, co to usiadł przy wiązce siana i szczekał; sam nie jadł i krowie nie dał.

Przy innym stole znowu pp. Kozubowski i Łuszczkiewicz chodzą około jedwabników, pokazują kokony, jedwab krajowego wyrobu.... A toć skoro morwa bardzo dobrze u nas się udaje, to może i doczekamy się, że jedwabnictwo u nas z czasem wydobędzie się z pieluch i z przyjemnéj zabawki stanie się przemysłem i bogactwem kraju. Dawniéj, ale to bardzo dawniéj były u nas jak piszą wielkie i liczne winnice — piaskowa-góra we Lwowie np. była pod wino uprawiana. Dzisiaj klimat się widać oziębił, ziemia wyczerpała i uprawa winogron u nas po za przyjemność sięgać nie może — niechajże ten ubytek jedwabniki zastąpią, a krzewicielom tego przemysłu kraj błogosławić będzie. Zanim jednak w jedwabiach chodzić będziemy, niezawadziłoby pierwéj jeszcze pomyśleć o lnie i konopiach i wełnie, i zakładać po kraju przędzalnie, które są np. takiém bogactwem Francyi. A są u nas wszystkie po temu warunki, i surowy płód i mnóstwo ubożyzny pragnącéj pracy — a jednak ciężko to jakoś idzie. Mówią o tém w Krakowie od dwóch lat i pewnie jeszcze drugie dwa mówić będą nadarmo. Ot zapijmy lepiéj te smutki, jeżeli nie winem własném, to miodem. A miód to przecież nic gorszego, boć jak mówi Klonowicz w „Roksolanii" (przez usta Syrokomli):

...Miód rosa niebios i manna jedyna,
Pszczółka ją zbiera do swego zacisza,
Miody sycone lepsze są od wina!...

a cóż dopiero owe naliwki miodowe na owocach, owe wiszniaki, dereniaki i t. p. — jakie to po dworach Panie nasze ku rozwese-

leniu serc przyrządzają. Więc też i przyjemnie przyjrzeć się i posłuchać jak oto p. Florkiewicz z Alwernii ule pokazuje i objaśnia i otwiera; a te małe gady skrzydlate a pracowite krzątają się po swoich pałacach, i trudzi się to biedactwo całe życie, żeby pan człowiek miał co pić i czém świecić. A obok stoją piramidy cukru z krochmalu, i znowu owoce, których rodzajów i gatunków aniby naliczył. Szczęść wam Boże, a za rok pokażcie nam znowu jeszcze obfitsze plony.

Ś. Michał zaś obdarzył nas jarmarkiem — lecz nie bardzo mu się to udało. Biedota to; kilka wystaw ubiorów — zresztą sklepy przeniesione z Kazimierza i budka z delikatesami wschodniemi, owe tam sorbety, sułtański chleb i t. d. — Lewicki ze Lwowa nie przyjeżdża już z piernikami. Czyżby się pogniewał na Kraków o to że fakelcugów nie robimy i okien żydom nie wybijamy? Bo ta polityka to wszędzie teraz się wmiesza, a tak niepotrzebnie jak te karakony, które mają od pewnego czasu zwyczaj obierać sobie na miejsce wiecznego spoczynku bułki u jednego z naszych piekarzy.

Nie mało téż gadania i krzątaniny było w tym czasie *a propos* wydarzenia, które jeżeli nie na losy, to przynajmniéj na pozór i na humor Krakowa wpłynąć powinno. Oto zawarte zostało pierwsze u nas cywilne małżeństwo — kasyna art.-literackiego z resursą mieszczańską. Członkowie kasyna zostali i członkami resursy — ztąd wspólny lokal i czytelnia — swoją drogą statut, całość i odrębność kasyna art.-lit. pozostały nienaruszonemi i należy się spodziewać, że pierwsza kampania zimowa, którą kasyno w tym roku odbędzie odznaczy się walnemi zwycięztwami na polu literatury i sztuki i towarzyskich przyjemności.

Zakończymy dzisiejszą kronikę następującém „nadesłaném“: „Czynimy wiadomém, komu o tém wiedzieć należy, że w pewném miejscu przy ulicy Sławkowskiéj, znajduje się krowa, a raczéj kilka krów jednéj właścicielki, które (krowy) dziwnym wybrykiem natury, wydają mleko zimne jak lód, bez zwykłego odoru i do tego zbierane. Niżéj podpisana miała przyjemność naocznie sprawdzić tę osobliwość, będąc kilkakrotnie obecną przy dojeniu i zaraz po wydojeniu próbując świeżego mleka. Prawda, że ciemność panująca w oborze nie dozwala przekonać się o niewinności cebrzyka, a troskliwa o swój przemysł właścicielka, wzbrania bliższego przystępu do krowy podczas téj operacyi — bądź co bądź fakt sam zasługuje na bliższe ocenienie naturalistów — p.... policyjnych — sztuczny zaś produkt zalecamy wszystkim amatorom mleka prosto od krowy, z nadmienieniem, że kwarta takowego kosztuje na miejscu tylko 16 centów wal. austr“. *Ofelia.*

*** **Drugi niemiecki kongres kobiecy** odbędzie się 17go paźdz. t. r. w Stuttgardzie. Do narad przeznaczone są następujące temata: 1) Wynalezienie środków i dróg dla pouczania młodych matek, iżby fizycznem wychowaniem dzieci rozumnie kierować mogły. — 2) Urządzenie małych kobiecych muzeów dla literatury, sztuki i przemysłu. Do tych muzeów przyjmowanoby dawniejsze i nowsze doborowe dzieła pisane w powyższych przedmiotach przez kobiety, albo dla kobiet — dla użytku członków stowarzyszenia. Tutaj również byłaby wystawa robót kobiecych. Głównie jednak byłyby to zakłady kształcące, służyłyby jako miejsca zebrań dla kobiet uzdolnionych, chcących się porozumieć w sprawach oświaty, co do wychowania i opieki nad dziećmi i t. p. — z drugiéj strony byłyby w pewnych dniach otwarte dla kobiet z warstw niższych, pracujących, dla których urządzonoby tam odczyty i wykłady popularne. Do muzeów tych należałyby również: a) szkoły niedzielne dla kształcenia kobiet wszelkiego wieku i warstw; b) urządzenie małych skarbon oszczędności dla kobiet i dziewcząt; — c) stowarzyszenie spożywcze dla gospodyń; d) biuro wywiadowcze i poleceń dla zajęć kobiecych, pracy ręcznéj, gospodarczéj, wychowawczéj, umysłowéj; — e) przygotowywanie reformy mody, jéj dziwactwo, zmienności i kosztowności. Jako podstawy do tych usiłowań przedłożone są: a) nie dopuszczać, żeby się stawało niemodném i „niefaschionable“, cokolwiek przez dłuższy czas jako piękne i pożyteczne uznaném było; — b) nie przyjmować nic, coby nie odpowiadało wymaganiom pożytku i estetycznego smaku; — c) wykluczyć wszelkie części ubrania i toaletowe, które szkodzą zdrowiu i tamują przyrodzony rozwój; — f) Kobiece stowarzyszenia dobroczynności zamienić na zarobkowe; — g) starać się o powstawanie gimnazjów i akademij dla dziewcząt. — 40 miast bierze udział w tym kongresie.

*** Pisaliśmy dawniéj o wniosku sławnego uczonego J. St. Milla w parlamencie angielskim, o przyznanie kobietom prawa głosu przy wyborach. Otóż teraz przy wyborach w Manchester zgromadziło się około urny wyborczéj 5750 kobiet żądając na mocy nowych ustaw prawa głosu, jako własnowolne i niezależne majątki posiadające. Na czele była panna Lydia Beker, która w wielki ambaras wprawiła komitet wyborczy przez piorunujące mowy, w których dowodami filozoficznemi i historycznemi praw kobiet broniła. Jednak nie pomogła galanteryja — i odmówiono. Ustawa wyborcza używa wyrazu *people (des gens)*, lecz wytłómaczono, że to pojęcie nie obejmuje kobiet.

Times przytaczając wszelkie stare zużyte argumenta przeciw równouprawnieniu, pisze: „Obecnie mają one przywileje i korzyści przyznane słabym. Pozwólmy im bronić się samym, a okażą się zadowolonemi z praw, które im teraz wystarczają. Zamiast uzyskać nowe, zaryzykowałyby dotychczasowe i straciłyby nieochybnie ten wpływ, na mocy którego teraz wszystko im podlega“

Daily News uważa słusznie, że przedewszystkiem należałoby same kobiety zapytać — a nie odpowiadać za nie.

*** **Kobiety nauczycielki.** — W czasopiśmie angielskiem: *Macmillans Magazin* znajduje się zajmujący artykuł o kobietach-profesorach.

W 1732 r. Laura Bassi w Bolonii otrzymała katedrę filozofii naturalnéj i lat 6 ją zajmowała. Była zamężną i miała kilkoro dzieci. W r. 1750 Aguetti mianowaną została profesorem matematyki przy Uniwersytecie bolońskim. Przetłumaczyła kilka dzieł naukowych i napisała wstęp do wyższéj analizy matematycznéj, który na angielskie tłumaczono. Zajmowała katedrę przez lat 20, potem wstąpiła do klasztoru, gdzie umarła mając lat 80. W r. 1794 Klotylda Tamburi została profesorem języka greckiego przy Uniw. bolońskim. Przekonania polityczne zmusiły ją do opuszczenia katedry po 4 latach. Po wybuchnięciu rewolucyi przyłączyła się do konserwatystów i stała się rojalistką. Udała się do Hiszpanii dla prac naukowych. Powróciwszy do Włoch mianowaną została przez Bonapartego, który jéj przekonania polityczne przebaczył, profes. języka greckiego przy Uniw. medyolańskim. Około r. 1817 Madonna Mangolina miewała lekcyje anatomii w Uniw. bolońskim.

Pokazuje się, że jak zawsze, tak i w téj sprawie potrzeba zwyczaju i tradycyi.

† Liczne straty zadaje śmierć w tym roku naszemu miastu; jedną po drugiéj z postaci znanych powszechnie odprowadzamy na wieczny spoczynek. Po Grabowskim, Lętowskim pochowaliśmy znowu śp. Wiszniewskiego — a następnie śp. L. Lipińskiego, niegdyś oficera wojsk polskich, radzcę miejskiego, prezesa resursu, prezesa komitetu wsparcia Sybirczyków i t. d. Byli to obywatele, których otaczał powszechny szacunek, i pozostała po nich zacna pamięć.

*** Nakładem księgarni Gubrynowicz-Szmidt we Lwowie wyszła nowa powieść Bolesławity „Hybrydy". Jestto najlepsza z powieści wydanych dotąd pod tą firmą.

*** W Krakowie wyszła nowa książeczka p. Zarańskiego: „O zasadach w układaniu dzieł elementarnych". Sz. Autor uprawia ze specyjalną i jedyną prawie u nas znajomością przedmiot, który zwłaszcza przy spodziewanym obecnie rozwoju szkół jest bardzo na czasie.

*** Wyszła w Poznaniu broszurka mieszcząca „Sonety nadgoplańskie. Wiersze te odznaczają się nieudolnością wysłowienia, łamaniem się z językiem; myśli powiększéj części niejasne oddane są w pogmatwanéj formie. Przytoczymy tu wiersz trzeci sonetu 1.; — porównanie słońca do racy — Gopło ma wyniosłą grzywę — blask cienie zalega — autor pada na kolana przed Deotymą: ...„i uczciłem Twą boskość w Twojém przebóstwieniu";... ziemia mogił ma drogie garby; pełno tu takich i t. p. Zresztą nie ma w tych wierszach nic złego, chęci poczciwe.

*** Pomiędzy książkami nagrodzonemi w tym roku przez akademią paryzką jest dzieło p. Alfreda Nettement: *De la seconde education des filles*. Jest to wyborny poradnik dla rodziców chcących ukończyć wychowanie córek odebranych z pensyi. Autor czerpie swoje rady z historyi i rozwija je metodycznie — piękne są karty o pani Sévigné, Maintenon i ufundowanéj przez nią pensyi, mówi także o J. Rousseau i wychowaniu w 18. w. Jest to użyteczna i przyjemna książka.

P. T. Sławińskiego — prosimy o adres.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu" i księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje niepieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.